



Nauka to jednak nie sport

Kilka miesięcy temu, w 527 numerze PAUzy, Profesor Piotr Sztompka zamieścił bardzo ciekawy tekst zatytułowany O HABILITACJI I NIE TYLKO – Z PERSPEKTYWY KONSERWATYWNEJ.

Zgadzam się całkowicie z argumentami Profesora, gdy mówi o konieczności utrzymania habilitacji, a także z większością jego poglądów na sytuację uczonego. Zwłaszcza trafiają do mnie słowa o obowiązku „nieustannego doskonalenia się, czyli nieustannej, intensywnej, zdyscyplinowanej pracy badawczej”, które znakomicie ujmują, moim zdaniem, istotę sprawy. Przyzna to każdy kto, choćby przez chwilę, zetknął się autentyczną nauką. Również zdanie „there is no repose at the top”, które autor zaczerpnął od swojego mistrza, Roberta K. Mertona, perfekcyjnie – wydaje mi się – podsumowuje rozterki i ambicje wybitnych umysłów. Mój mistrz, Profesor Jan Weysenhof, formułował podobne rozważania zdaniem „o fizyce myśli się bez przerwy”. Zapamiętałem je na całe życie.

Wreszcie podpisuję się też oboma rękami pod słowami: „Nie obawiamy się elitaryzmu w nauce, o ile droga do elity obwarowana jest merytorycznymi procedurami kooptacji, wymaga kolejnego pokonywania szczebli drabiny i pozostawiona jest autonomicznej gestii samego środowiska naukowego”.

Niestety, realizacja tych zasad bywa trudna i w rzeczywistości często obserwujemy raczej ich karykaturę niż ideał, o jakim mówi Profesor Sztompka.

Groźnym zjawiskiem jest zwłaszcza stopniowe obniżanie wymagań obowiązujących przy pokonywaniu poszczególnych szczebli kariery akademickiej. Prowadzi to z kolei do nadmiernej proliferacji „szczebli”, co jest nieudolną próbą kompensacji pierwotnego błędu. To oczywiście droga donikąd i Profesor Sztompka słusznie postuluje, aby zacząć poważnie traktować istniejące wymagania, a nawet je wzmocnić. Nie jest to łatwe, wymaga zmiany wieloletnich nawyków, a także mentalności i obyczajów. Stąd proponowana przez niecierpliwych młodych ludzi radykalna kuracja, polegająca na odrzuceniu lub znacznym zredukowaniu formalnej hierarchii. Przychylając się do krytycznej oceny obecnego stanu rzeczy, myślę – za Profesorem Sztompką – że tak ekstremalny krok byłby jednak wielką pomyłką. Oparta na merytorycznych osiągnięciach hierarchia jest bowiem niezbędna, jeżeli nie chcemy oddać nauki na pastwę oszustów i szarlatanów, a więc doprowadzić do jej ostatecznego zniszczenia lub zejścia do podziemia.

Chętnie do cytowanych wyżej słów Profesora dodałbym jeszcze jedno: uczciwość. Nie ulega wątpliwości, że mówiąc o pokonywaniu kolejnych szczebli drabiny, autor miał na myśli UCZCIWE pokonywanie szczebli. Zapewne uważał, że sprawa jest zbyt oczywista, aby była warta podkreślenia i dlatego o tym nie wspomniał. Wszakże w obliczu coraz częściej ujawnianych w nauce zjawisk koteryjności i protekcjonizmu, a także afer (np. plagiatów lub wręcz fałszowania danych), zastrzeżenie to winno być, myślę, sformułowane explicite.

Nie mogę też podpisać się bez zastrzeżeń pod ostatnim zdaniem tekstu, które brzmi: „Bowie bez uznanych autorytetów, ekskluzywnych elit i nieustannego dążenia do bycia lepszym od innych – nauka obumiera”.

Uwiera mnie tutaj jedno słowo. O ile zgadzam się, że uczonego musi stale dążyć do stawiania się coraz lepszym OD SIEBIE, to mam wątpliwości, czy podobny imperatyw winien obowiązywać również w stosunku do INNYCH.

Na początku swojej kariery młody adept nauki ma rzeczywiście naturalną tendencję do porównywania się z innymi, zwłaszcza starszymi, badaczami. Jest to prawdopodobnie konieczne dla uzyskania poczucia własnej wartości i wiary w możliwości swojego intelektu, bez których nie jest chyba możliwe osiągnięcie sukcesu w tej niezwykle wymagającej i angażującej całą osobowość człowieka pracy. Ale po uzyskaniu dojrzałości naukowej dalsze „ściganie się” z innymi przedstawicielami wspólnoty uczonych wydaje mi się zajęciem raczej jałowym i dającym dość wątpliwą satysfakcję. Przekroczyć samego siebie, uzyskać wynik, który zostawi trwały ślad, to rzeczywiście cel, o który warto walczyć z całych sił.

Pokonać zwłaszcza rutynę, która skłania nas do powielania wielokrotnie tych samych idei w różnych wersjach. Trzeba też uporczywie walczyć ze sobą o niezależność własnych myśli, aby przezwyciężyć naturalną tendencję podążania za kolejną modą, obowiązującą co jakiś czas w każdej dziedzinie nauki. To bardzo trudne, bo wymaga mocnego charakteru oraz wypracowania własnej drogi badawczej. Niemniej to właśnie sukces na tym polu jest – koniec końców – prawdziwym testem dojrzałości, czy nawet wielkości uczonego.

Podofaniu tak wysokim wymaganiom, jakich żąda intensywna i twórcza praca badawcza, mogą naturalnie pomagać najróżniejsze bodźce, które każdy dostosowuje, lepiej lub gorzej, do swojej konstrukcji psychicznej. Bywają bardzo różne. Często jest to ciekawość, czasem chęć zmierzenia się z trudnym zadaniem, czasem ambicja i chęć sławy, a bywają też po prostu pieniądze (choć w tej materii uczeni specjalnych sukcesów zazwyczaj nie osiągają).

Ale porównywanie się z kolegami i czerpanie satysfakcji z osiągnięć na tym polu (choć przyznaję, bardzo ludzkie) wydaje mi się kontraproduktywne. Abstrahując już od faktu, że nauka to nie sport, kryteria nie są jednoznaczne i ocena „kto lepszy” zawsze pozostanie wątpliwa, trudno nie zauważyć, że – po osiągnięciu pewnego poziomu – zbyt łatwo można uzyskać sukces na tym polu i w rezultacie spocząć w błogim poczuciu zwycięstwa. W końcu każdy potrafi znaleźć swoją żabę, co przed nim ucieka, i ominąć swojego zająca, którego się boi.

A taki spoczynek na laurach jest przecież, jak słusznie argumentuje Profesor Sztompka, sygnałem, że uczonego porzucił swoje powołanie i właściwie przestał być uczonym. Konkurujemy więc, ale tylko w takich zawodach, w których nie natknijemy się na pokusę odniesienia łatwego zwycięstwa. Najlepiej z samym sobą, a jeżeli to za trudne, to może ewentualnie z google.com.

ANDRZEJ BIAŁAS



Kraków

Partnerem czasopisma jest Miasto Kraków

A jednak trochę jak sport

Chciałbym dostawać tylko takie teksty „polemiczne”! Cieszę się, że zgadzamy się z Profesorem Białasem w tyłu punktach. „Protokół rozbieżności” jest niewielki. Ale skłania mnie do wyjaśnienia mojego stanowiska w sprawie „sportu w nauce”. Trwam przy swoim. Nie widzę niczego zdrożnego w konkurowaniu z innymi (oczywiście tylko w ramach własnej dyscypliny, a nawet w ramach własnego pola badawczego). Oczywiście o ile jest to konkurencja „fair” (jak pisze Profesor Białas – uczciwa), a nie kopanie innych zamiast piłki czy branie środków dopingujących. Patologia zdarza się wszędzie, i w sporcie, i w nauce. Klimat konkurencji może ją prowokować, bo słabeuszom i nieudacznikom stwarza pokusę, aby iść na skróty, ale prędzej czy później plagiat, fałszowanie wyników badawczych czy agresywny automarketing zostają zdemaskowane.

Natomiast nie sposób przecenić motywującej wartości tego dążenia do bycia lepszym od innych. Nauka podobnie jak sport wymaga morderczego treningu i ogromnych wyrzeczeń. Motywacja konkurencyjna stwarza nieustanne napięcie do tego pomocne. Bo zawsze będzie ten „zając” szybszy od nas i nigdy nie zaznamy „odpoczynku na szczytach”. Tak jak w sporcie, tak i w nauce granica osiągnięć ulega stale przesunięciu. Pamiętam kiedy Siergiej Bubka skoczył pierwszy raz o tycze na wysokość 6 m, to była sensacja. Dzisiaj Armand Duplantis skacze 6 m 15 cm i wszyscy tyczkarze męczą się, żeby do tego chociaż się zbliżyć. A w nauce? To właśnie konkurencja wyzwala kreatywność, innowacyjność i prowadzi do coraz ważniejszych wyników.

Być może Profesor Białas ma rację, że jest to sprawa charakterologiczna. Bo przecież są tacy, którzy jak tylko wyprzedzą

swojego „zółwia”, spoczywają na laurach z satysfakcją, że są lepsi od gorszego od siebie. Ale ani w sporcie, ani w nauce ci, którzy cieszą się, że są od nich słabsi, niczego nie osiągają. Są także w nauce, ale niezmiernie rzadko, ci geniusze, którzy w ogóle nie zważają na innych i z pełną autonomiczną determinacją dążą do poznania prawdy. Budujemy im pomniki, ale takiego heroizmu nie możemy wymagać od wszystkich. Większość uczonych jednak z kimś się porównuje. Byle tylko porównywali się z lepszymi, a nie gorszymi od siebie.

Psychologia społeczna formułuje „teorię porównań”. Wyróżnia dwa ich rodzaje: porównanie „w dół”, co daje pozorną satysfakcję, podwyższa poczucie (złudne) własnej wartości i pozwala właśnie spocząć na laurach. (Nawiasem mówiąc, ten typ porównania stosują ci, którzy w sprawach politycznych powiadają: na Białorusi jest jeszcze gorzej). I drugi typ porównań: z lepszymi od siebie, a tacy zawsze się znajdują, bo nigdy nie znajdziemy się na samej górze. (W polityce tak porównują ci, którzy mówią: jeszcze daleko nam do Szwecji czy Szwajcarii). Takie porównania „w górę” dają – według psychologów – zwiększony napęd do upartego dążenia do przodu, do wysiłków, wyrzeczeń, twórczości, nowatorstwa.

Słowo „pro domo sua”: mnie takie porównania, nawet czasami podświadome, niekoniecznie spersonalizowane, zawsze pomagały. Już w czasach studiów, gdy ówczesny studencki tygodnik ltd. zamieścił pierwszy wywiad ze mną, redakcja dała tytuł *Mierzyć wysoko*. I tak już mi zostało do dzisiaj. Ale oczywiście przy innej konstrukcji psychicznej ustawienie poprzeczki zbyt wysoko może mentalnie paraliżować i blokować („I tak nigdy nie będę noblistą!”).

PIOTR SZTOMPKA

Historia magistra vitae?

Podczas wojny roku 1754, gdy Franciszek I ukoronował się we Frankfurcie, część ludu, oddana Austriakom, poszła pod okna ambasadorów Francji i Hiszpanii, wyrażając swą radość krzykami: „Niech żyje Cesarz!”. Ambasador francuski kazał wyrzucić pieniądze pospółstwu, które wykrzyknęło: „Niech żyje Francja!” i rozeszło się. Inaczej przed pałacem kardynała Aquaviva, protektora Hiszpanii. Ten, czując się obrażony, otwiera okna: dwadzieścia strzałów z fuzji wali na ziemię tyłuż martwych lub rannych. Lud chce podpalić pałac i spalić Aquavivę, ale ten zapewnił sobie tysiąc zbirów, którymi zalał plac. Kto by uwierzył, że papież ze swą absolutną władzą i ze swą armią nie pomyślał o tym,

aby dać ludowi jakiś odwet za kardynała? Oto straszliwe skutki PREPOTENCJI*. To nie wszystko: ten kardynał Aquaviva czuł w ostatnich chwilach życia takie wyrzuty za swoje okrucieństwa, że chciał odbyć publiczną pokutę. Nic słusniejszego, ale Święte Kolegium nie pozwoliło bezwarunkowo na to DLA HONORU PURPURY. Tak więc w stolicy świata chrześcijańskiego skrucha, ta cnota grzesznika, jedyna jego ucieczka, została zakazana księdzu zbyt mało ukaranemu przez swoje wyrzuty; a ów tryumf pychy na religię pokory był dziełem tych, którzy się podają za spadkobierców pierwszych jej apostołów. Religia będzie pewnie trwała, ale PREPOTENCJA nie może trwać.

(Nicolas Chamfort, koniec XVIII wieku, tuż przed rewolucją 1789)

* Prepotencja: wielka moc, potęga, władza

PLATFORMA WYMIANY NAUKOWEJ PAU



WYDAWNICTWO PAU POLECA - link

Jest tam kto?

Kilka refleksji o nauczaniu w czasach zarazy

Pozwolę sobie zaryzykować stwierdzenie, że jeszcze kilka lat temu tylko nieliczni nauczyciele akademicki mieli jakiegokolwiek doświadczenia związane z tzw. nauczaniem zdalnym. Uwaga ta dotyczy zwłaszcza, jak mi się wydaje, przedstawicieli nauk humanistycznych. I oto nagle, w marcu 2020 roku, gdy epidemia Covid-19 dosięgła również naszego kraju, wszyscy stanęliśmy wobec konieczności prowadzenia dydaktyki za pomocą technologii informatycznych. Na początku, jak to zwykle bywa w trudnym położeniu, mieliśmy nadzieję, że to tylko „przejściowe trudności” i niebawem wszystko wróci do normy. Staraliśmy się wprawdzie skwapliwie utrzymywać kontakt mailowy z naszymi studentami i wysyłać im różnorakie pomoce naukowe, trwaliśmy jednak w przeświadczeniu, że wkrótce sytuacja się poprawi i szybko nadrobimy zaległości... Gdy jednak mijały kolejne dni i tygodnie, stawało się jasne, że stan epidemicznych obostrzeń może potrwać jeszcze długo i nie unikniemy informatycznej rewolucji w nauczaniu.

Należało zatem przystąpić do pokonywania ograniczeń i przełamywania barier. Te zaś miały różny charakter. W pierwszej kolejności wskazać można ograniczenia natury technicznej: brak w domu odpowiedniego sprzętu lub oprogramowania, brak dostępu do Internetu lub zbyt słabe łącza. Wspomniane niedostatki dotyczyły zresztą nie tylko naszych gospodarstw domowych, ale w pewnym zakresie także macierzystych instytucji, borykających się z chronicznym niedoinwestowaniem.

Niepomiernie większego wysiłku wymagało jednak pokonanie barier mentalnych, a zwłaszcza psychologicznych. Trzeba było bowiem nauczyć się w trybie dramatycznie przyspieszonej obsługi różnych aplikacji i narzędzi informatycznych. W sukurs przyszły na szczęście szkolenia (zdalne, a jakże!) organizowane na naszych uczelniach, niejednokrotnie można też było liczyć na nieocenioną pomoc młodszych wiekiem członków wspólnoty akademickiej, niemal od urodzenia biegłych w sztuce posługiwania się komputerem. Jednakże na tym kłopoty wcale się nie skończyły. Dla wielu z nas bolesne okazało się bowiem samo zderzenie z formułą zajęć zdalnych, której główny problem stanowi interakcja z odbiorcami, tj. ze studentami, a właściwie jej niemal zupełny brak. Szczególnie dotkliwie jest to w przypadku wykładu, będącego przecież esencją dydaktyki akademickiej. Jak wiemy, każdy wykładowca ma swoje zwyczaje, pewną „strefę komfortu” wykładania. Jeden siedzi, drugi stoi, jeszcze inny przechadza się po sali, pisze na tablicy lub rysuje. Tymczasem obecnie można tylko i wyłącznie siedzieć przed komputerem, nierzadko w pomieszczeniu, wokół którego toczy się w najlepsze życie rodzinno-gospodarcze, oglądać się w oku nie zawsze korzystnie ustawionej kamery i mówić w pustkę, w próżnię, w nicność. Nie widzimy bowiem zwykle twarzy tych, do których kierujemy wypowiedź, bo kiedy zechcą się oni pokazać, tj. włączyć swą kamerę, zazwyczaj automatycznie pogarsza się jakość połączenia. Nie rozpoznajemy zatem w oczach naszych studentów ani oznak zainteresowania, ani znużenia, nie wyczuwamy, kiedy powinniśmy coś wyrazić dobitniej, a kiedy opowiedzieć anegdotę. Innymi słowy: nie ma „chemii”, nie ma tej delikatnej nici porozumienia między wykładowcą a słuchaczem, która do pewnego stopnia przypomina tę, która powstaje w teatrze między aktorem a widzami. Co gorsza, zdarzają się chwile, kiedy przeczuwamy, że jesteśmy zupełnie sami, kiedy pojawia się deprymujące przeświadczenie, że nikt nas nie słucha...

Prowadzimy też zajęcia, podczas których wypowiedzi studentów są wymagane, jak np. ćwiczenia, konwersatoria czy seminaria. Przypominają one niekiedy seanse spirytystyczne. Pytamy: Pani Alicjo, jest Pani z nami? Z ciemności wyłania się po chwili Pani Alicja lub przynajmniej jakiś kształt, który zdaje się ją przypominać, i słyszymy znajomy głos. Ale czasami nie pojawia się nikt, a potem dostajemy wiadomość, że niestety połączenie zostało przerwane... Trzeba też stwierdzić, że niektórzy studenci zniknęli, mimo wysiłków straciliśmy z nimi kontakt, można jedynie przypuszczać, że przynajmniej w części padli ofiarą zjawiska określanego jako wykluczenie cyfrowe.

Nie dziwi zatem fakt, że coraz częściej obserwuje się zjawy „zmęczenia materiału” po obydwu stronach ekranu, czy też na obydwu końcach internetowego łącza. Zarówno nauczyciele, jak i studenci muszą wkładać w pracę znacznie więcej wysiłku niż przed pandemią, coraz trudniej jest się mobilizować i motywować, bo przecież stan ten trwa już prawie trzy semestry. Trudne do oceny są też niekiedy rezultaty naszej pracy, bowiem w trakcie egzaminu przeprowadzanego zdalnie w sercu egzaminowanego niejednokrotnie pojawić może się pokusa, by pomóc sobie przy zastosowaniu najnowszych technologii...

Nauczanie zdalne wymaga w pewnym zakresie zmiany podejścia do formy zajęć, niekiedy wymusza porzucenie dotychczasowych nawyków, uświadamia potrzebę aktywizowania studentów na różne sposoby, można więc powiedzieć, że z tego względu stanowi niełatwe, lecz pożyteczne doświadczenie. W przypadku nauk humanistycznych, takich jak np. archeologia czy historia sztuki, zajęcia dydaktyczne często uwzględniają jednak zmysłowy kontakt z konkretnym zabytkiem, z narzędziem kamiennym, z fragmentem glinianego naczynia, z rzeźbą lub obrazem – z „żywym” źródłem. W warunkach pracy zdalnej uzyskanie podobnego procesu doświadczania owego źródła jest prawie niemożliwe lub całkowicie niemożliwe. Nie da się zastąpić choćby najbardziej efektywną prezentacją multimedialną kilkutygodniowego udziału w badaniach wykopaliskowych lub pobytu w magazynach muzealnych. Wiele osób podejmowało mimo to wysiłki, by przybliżyć studentom różne zjawiska, np. sięgając do zasobów tzw. humanistyki cyfrowej, korzystając z rekonstrukcji 3D różnych zabytków czy też wirtualnych wycieczek po galeriach sztuki. Podobne dylematy są oczywiście także udziałem przedstawicieli innych nauk, jak np. chemii, biologii etc. Mimo wszystkich opisanych wyżej trudności, do których trzeba jeszcze dodać ograniczenia w funkcjonowaniu bibliotek, w minionym roku akademickim obroniono jednak całkiem sporo prac dyplomowych: licencjackich i magisterskich.

Reasumując, można zatem powiedzieć, że w wielu wypadkach, działając w stanie wyższej konieczności, w relatywnie bardzo krótkim czasie udało się stworzyć przyzwoitą, a niekiedy nawet dobrą alternatywę dla normalnego, tj. stacjonarnego procesu dydaktycznego. Ze zdobytych w ten sposób doświadczeń będziemy przypuszczalnie korzystać także w postpandemicznej przyszłości. Niektóre instytucje czy wydziały już myślą o stworzeniu specjalnych sal przeznaczonych do prowadzenia zajęć w systemie zdalnym lub hybrydowym. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że zajęcia te będą stanowić jedynie uzupełnienie oferty dydaktycznej, a my spotkamy się już wkrótce ze studentami „na żywo” w salach wykładowych i laboratoriach.

Skrytobójstwo, spisek..., taśmy

Cierpieniem Polaków żyjących w niewoli był wyrok historii skazujący na skrytobójczą walkę z zaborcami. Literatura wielkich romantyków pełna jest gorczy i ubolewań z tego powodu, żeby wymienić tylko wiersz Mickiewicza Do matki Polki z powtarzaną w różnych wariantach konstatacją: „Syn twój wezwany do boju bez chwały...” Chwałę przynosiły boje toczone w otwartym polu, między znanymi sobie wrogami.

O tym stanowił etos rycerski, wpajany obywatelom wolnej Rzeczypospolitej. Maria Ossowska, autorka książki o etosie rycerskim, podkreśla w niej znaczenie, zakorzenionej mocno w systemie podstawowych wartości, opozycji w ocenie zwycięstwa nad przeciwnikiem odniesionego w konfrontacji twarzą w twarz i przewagą uzyskaną na skutek zdrady, spisku, ostatecznie skrytobójstwa. Te ostatnie działania bywają i były usprawiedliwione w sytuacji zniewolenia, kiedy zwyciężony jest przez zwycięzcę pozbawiony statusu godnego przeciwnika.

W takiej sytuacji byliśmy podczas zaborów i pod okupacją, hitlerowską oraz stalinowską, w latach drugiej wojny światowej. Nikomu nie przychodzi do głowy poddawać weryfikacji moralnej dywersji uprawianej przez konspiratorów, gdy cały opór wobec wroga był dziełem Państwa Podziemnego, czyli spiskiem.

Jednak powojenna „leśna” partyzantka – wbrew oficjalnemu stanowisku krajowego przedstawicielstwa rządu emigracyjnego, wywołuje skrajnie różne opinie. Z jednej strony próby refleksji nad perspektywami takiej, skrytobójczej w istocie, walki z nowym okupantem, z drugiej bezrefleksyjną mitologię „żołnierzy wyklętych”, która znajduje podatny grunt w kręgach osób słabo znających własną najnowszą historię.

Badania psychologów społecznych mówią o znacznej liczbie zwolenników różnego autoramentu teorii spiskowych wśród współczesnych Polaków. Spotęgowało ten stan rzeczy lansowanie przez komisję Antoniego Macierewicza spiskowej interpretacji katastrofy smoleńskiej, niezależnie od znikomych i wątpliwych rezultatów działania tego gremium.

Poza powierzchownymi spostrzeżeniami o naturze tej czło-wiecznej skłonności, musi ona budzić uwagę natury ogólniejszej i troskę głębszą, z powodu tego, że w ostatnich latach całkiem nie-mała część życia zbiorowego zdaje się przenosić w rejony niejawnych domniemań, spekulacji opartych na takich domniemaniach, wzmagającej się wzajemnej podejrzliwości. Powiedzenie w takiej sytuacji, że pospiesznie, zgłoła gwałtownie, znika z naszego życia etos rycerski jest patetycznym stwierdzeniem faktu, pozbawionym załączkowych choćby widoków na poprawę. A na poprawie powinno nam zależeć, dlatego że tłumaczenie zachodzących wydarzeń, choćby w części, działaniem spisków przynosi w konsekwencji uzasadnienie, zatem i usprawiedliwienie, działań o charakterze skrytobójczym, dzisiaj nie dosłownie śmiercionośnych, ale zawsze degradujących moralnie.

W państwie demokratycznym, czy dopiero aspirującym do bycia takim, istotą życia politycznego jest rozmowa, w której do-chodzi do uzgadniania poglądów, pomnażania powszechnej wiedzy o istnieniu różnic i próbach przewyżczania ich w drodze porozu-

mienia, ustalania reguł współdziałania, przynajmniej w obszarach panującej zgody oraz uznanych potrzeb.

Ostatnie czasy przyniosły, wraz z nowymi technologiami, inną niż dotąd postać skrytobójstwa, żeby pozostać przy tej nazwie, tj. taśmy nagrywane podstępnie, po czym odtwarzane lub relacjonowane publicznie. Przed kilku laty przeciwnicy nagranych w restauracji działaczy partii wówczas rządzącej nazywali je z satysfakcją „taśmami prawdy”, teraz negatywny bohater taśmowej demaskacji podaje w wątpliwość autentyzm nagrań, powołując się na ciągle doskonałe możliwości manipulowania taśmami.

Rozwój technologii przyniesie, zapewne prędzej niż się tego spodziewamy, nowe narzędzia współczesnego skrytobójstwa, a wysiłek wyznawców etosu rycerskiego powinien się koncentrować nie na niweczeniu kolejnych możliwości, ale na przywracaniu zna-czenia starciom w otwartym polu, twarzą w twarz, czyli w jawnej debacie równoprawnych partnerów. Dążenie do tego nie jest dyk-towane jakąś anachroniczną tęsknotą za minionym, uważanym za lepsze (szlachetniejsze) od aktualnego. Jest realną i bardzo, jak sądzę, pilną potrzebą uzdrowienia życia publicznego i szerzej, życia społecznego w ogóle, wyprowadzenia z manowców, w jakie wiedzie skrywanie jego istotnych obszarów, utajnianie schorzeń, chronienie, a w szczególnych przypadkach tajemne pozbywanie się ich sprawców.

Do „afer taśmowych” przywykamy łatwo, bo zaspokajają pry-mitywną ciekawość tego, co dzieje się za kulisami polityki. Łatwo też ignorujemy wszelkie zastrzeżenia dotyczące wiarygodności tego narzędzia, nie mówiąc o wątpliwościach etycznych co do posługiwania się nim przeciwko komukolwiek.

Zdaję sobie sprawę, że próby zasiewania takich wątpliwości są głosem wołającego na puszczy, ale uważam taki głos za nie-zbędny w życiu społeczeństwa, jeśli ma ono odpowiadać współ-czesnym standardom cywilizacyjnym. Nie ulegam złudzeniom, że skrytobójstwo, spisek i współczesna ich wersja – taśmy – znikną z naszego życia, gdy uruchomimy maszynę ich dezawuowania czy kompromitacji. Chciałabym mieć nadzieję na taką hierarchię środków regulujących stosunki społeczne, jaka zapewnia ich zdrowie, daje szansę właściwie rozumianemu pluralizmowi, tj. te same prawa i te same możliwości wszystkim uczestnikom debaty. Powtarzam truizmy, z którymi nikt nie polemizuje, ale wielu je pomija, być może świadomie i cynicznie, być może jako mało skuteczne, bądź dlatego że nawykli do posługiwania się skrytobójstwem i spiskiem, albo zatarły im się granice między tym, co dopuszczalne, i tym, co absolutnie się nie godzi.

*

Ceniąc sobie perspektywę dalszego długotrwałego pokoju i rozwoju we wspólnocie europejskiej, uważam za jedną z ważniejszych potrzeb społecznych podjęcie poważnej, spokojnej, głębo-kiej debaty nad tym, co można określić mianem kondycji moralnej, co bardziej praktycznie oznacza formułowanie i wprowadzanie w obieg publiczny podstawowych standardów postępowania jed-nostek, środowisk, ugrupowań politycznych. Może to być zarazem pożyteczne oraz interesujące.

MAGDALENA BAJER

PAUza Akademicka - www.pauza.krakow.pl - tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.

Redakcja: Andrzej Białas - redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy - redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski - grafika; Ryszard Otręba - „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz - dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel - fotokład; Wydawnictwo PAU - konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.